Rima nie zamierzał odpowiadać na to pytanie. Wyraz jego twarzy nagle wyostrzył się - krzaczaste brwi zbiegły się u nasady nosa, a oczy zapłonęły nienawiścią. Tak, prawie taką samą, jaką pałał do swoich Panów. Po chwili zerwał się, niczym wściekłe zwierzę z łańcucha, doskoczył do sprzeciwiającego się mu mężczyzny, przyparł go do muru i z furią wyprowadził kilkanaście ciosów nożem. Nie przestał dźgać nawet, gdy poczuł na ręce ciepło wypadających z rozprutego brzucha flaków. Kiedy ofiara osunęła się w końcu na ziemię, wciąż z niezaspokojoną wściekłością splunął jeszcze na ciało. Dopiero po dłuższej chwili, gdy uspokoił oddech, spojrzał na pozostałych uciekinierów. Patrzyli na niego, ale teraz już z uległością. Nie musiał, więc mówić ani słowa. Spróbują opuścić miasto kanałem pod siedemdziesiątą czwartą aleją. Tak jak według niego było najbezpieczniej.

*

Waldorf Am wypuścił dym z ust, strzepał popiół z cygara za maskę czerwonego kabrioleta, którym jechał, a potem uśmiechnął się szeroko. Opór powietrza rozwiewał jego długie, siwe włosy, zazwyczaj starannie przylizane do głowy, ale nawet to mu teraz nie przeszkadzało. Tak smakuje szczęście – mógłby wykrzyknąć. Miał swoje lata. Był już nawet dziadkiem, ale w tej chwili czuł się jak dziecko. W końcu dostał upragnioną zabawkę. Zabawkę, o jakiej marzył od lat. Czerwony kabriolet z połyskliwą karoserią i srebrnymi felgami mknął ulicą odgrodzoną od Strefy Zamkniętej z obu stron wysokim murem i chwilę później przejechał pod charakterystyczną metalową kładką, łączącą północną i południową część Dzielnicy Klonów. Jednak tym razem Am nawet nie podniósł spojrzenia znad drogi. Był zbyt zauroczony mocą swojego nowego silnika, by popatrzeć na stłoczony na kładce tłum klonów, które wracały do pracy w fabrykach po krótkiej, popołudniowej przerwie. Co ciekawe, między innymi w jednej z takich fabryk wyprodukowany został czerwony TES model V1 – samochód marzeń Pana Waldorfa Ama.

*

Rima długo zastanawiał się nad swoją decyzją. Siedział w samotności, nieopodal wyjścia z kanału i dziwnie pochylał się nad taflą kałuży. Tak, bał się spojrzeć w swoje odbicie, więc skradał się niepewnie, co chwilę płochliwie cofając głowę. Wiedział co ujrzy: wychudzony wąski podbródek, zniszczoną, ponacinaną bliznami skórę, wypłowiałe od ciągłej pracy na słońcu włosy. Nie przed tym jednak uciekał. Krył się przed bestią, którą czuł w sobie. Ale to właśnie tam, już u bram wolności, zrozumiał, że nadzieja, którą wiele lat żywił, była tylko złudnym pocieszeniem… Nie zmieni się, choć tak bardzo by chciał.

- Jesteś pewien? – zapytał jeden z towarzyszy.

- Tak, potem do was dołączę - odparł Rima.

A towarzysz nie protestował. W jego kiwnięciu głową, wyrażającym zrozumienie, można było natomiast dostrzec ulgę. Rima nie miał co do tego wątpliwości. Teraz, gdy byli wolni, nie chcieli mieć z nim już do czynienia. Oni potrafili żyć z piętnem klonów – ludzi drugiej kategorii stworzonych na wzór i podobieństwo swoich Panów. On nie… Stąd brała się w nim ta brutalna siła, zwierzęca złość, której inni tak się bali, ale która doprowadziła ich aż tutaj, przed drabinkę prowadzącą do wolnego świata... Pozornie wolnego – Rima popatrzył na dokumenty, które udało mu się wykraść z Urzędu Ewidencji Klonów, a które leżały na plecaku. Tak, pewne pytania nigdy nie dadzą mu spokoju. Niedługo potem zarzucił plecak na ramię i zawrócił.

*

W dzielnicy, w której mieszkali Amowie, nie było murów. Nie było nawet płotów. Nie musiało być. W świecie Panów zbrodnia była zjawiskiem marginalnym, czymś nienamacalnym, czysto teoretycznym, spotykanym, jeśli już, to w postaci nie rzeczywistej, a fabularnej, tylko na ekranach telewizorów, bądź na stronach powieści sensacyjnych. Co zdarzyło się raz, może zdarzyć się jednak ponownie… Warto było więc wciąż przypominać o obłędzie, jaki niegdyś zrodził się w sercach wolnych ludzi. Stąd ten pomnik, poświęcony ofiarom Wielkiej Wojny, po której garstka ocalałych, przez gigantyczny kryzys demograficzny, została zmuszona do wdrożenia projektu Reprodukcji Gatunku. Niestety, jak to zbyt często bywa, z biegiem czasu ten piękny, potężny obelisk, teraz już z wyblakłego od słońca kamienia, wzniesiony ku przestrodze dla potomnych, stał się tylko i wyłącznie wątpliwą atrakcją turystyczną. Niezauważalną dla miejscowych. Przed którą nie warto było nawet zwalniać.

Waldorf zatrzymał auto w ostatniej chwili, wyhamował z piskiem opon kilka metrów za policyjnym lizakiem. I nie zdążył nawet przekląć pod nosem nim usłyszał wyrok.

- Wie pan ile to będzie pana kosztowało?

- Panie władzo, to moja pierwsza jazda… - odparł.

- Proszę o dokumenty.

Tak, to te straconych czterysta punktów unieszczęśliwiło Waldorfa na całe popołudnie.

*

Rima ujrzał szereg białych domków z przestrzennymi werandami i bogato zdobionymi balustradami. Takim widokiem powitał go świat Panów. I dziwne to było uczucie. Zobaczyć na własne oczy to, co do tej pory mógł oglądać tylko na ekranie telewizora. Ziemię Obiecaną, do której wstęp mieli jedynie przodownicy pracy. Szerokie aleje, zadbane ogrody, przystrzyżone trawniki, a w powietrzu zapach kwitnącej wiosny. I ta niesamowita cisza, którą mącił jedynie szum wiatru. Nie było tu ciasnych uliczek, obskurnego betonu i kłębów piachu, wzbijających się w powietrze przy każdym kroku. Ale przede wszystkim nie było tłoku - chodnikiem spacerowała tylko uśmiechnięta para. Rima wyjrzał niepewnie zza krzewu, a widząc pierwszych przedstawicieli świata Panów, poczuł się jak szczur, który popełnił błąd i wyszedł z ukrycia. Zbyt długo mieszkał w okolicy wysypiska śmieci, by nie wiedzieć, co robi się ze szczurami, mającymi czelność pokazywać się ludziom. Sam w tym nieraz uczestniczył. Metalowy pręt i cios za ciosem. Aż bydle zmieni się w krwistą miazgę. Tak, już jako dziecko lubił te polowania. Tym razem to on miał być jednak zwierzyną. I to łatwą do wytropienia. Ubrany w brudny, niemodny dres, z twarzą zniszczoną trudami życia, nie pasował do pastelowych barw otoczenia. Czuł się plamą na tym obrazie wiecznego szczęścia. Ale choć już słyszał w głowie okrzyki *Uciekinier! Uciekinier!*, wręcz czuł na

sobie bezlitosne spojrzenia Panów, nie potrafił się wycofać. Dyskretnie, najciszej jak potrafił, przemykał pomiędzy ogrodami, zbliżając się do znalezionego w dokumentach adresu - domu, przed którym stał czerwony kabriolet.

*

Waldorf cenił sobie przestrzeń i świeże powietrze. Dlatego też tak lubił siadać na werandzie i oddawać się błogiemu lenistwu. Ćwierkot ptaków, delikatnie wkomponowujący się w ciszę, jak nic innego pomagał mu się uspokoić. Ciało odzyskiwało siły, a umysł odpoczywał. Tak, te wieczorne chwile spędzone w samotności, na werandzie, niczym praktyki medytacyjne, pozwalały mu uwolnić myśli od zmartwień dnia. To tylko czterysta punktów – właściwe wytłumaczenie jest ścieżką, którą starają się podążać szczęśliwi.

- Dziadku, to też mogę zabrać? – usłyszał głos nastoletniej wnuczki.

Znalazła w szafie kolejną nie używaną koszulkę, którą uznała, że można byłoby przekazać fundacji „Nie Jesteś Sam" w ramach akcji pomocy klonom. Waldorf uśmiechnął się i kiwnął głową.

- Oczywiście – powiedział.

Wciąż jednak myślał o punktach, których pozbawił go policjant.

*

Nie widzieli go. Jakby nie chcieli zobaczyć. Choć Rima miał wrażenie, że to wręcz niemożliwe. Był przecież tak od nich inny. Tak, teraz aż za dobrze to widział. Nigdy nie stałby się Panem. On był dzieckiem innego świata. Ale nie, nie czuł się przez to gorszy… Nigdy. I nigdy, jak sobie przyrzekł, nie poczuje też wstydu. Ani tym bardziej wdzięczności, którą kazano mu żywić do swoich stwórców. Wdzięczności za dar życia. Czuł jak wzbiera w nim złość i frustracja… Niemal z każdym krokiem, z każdym obrazem beztroskiego życia, którego wiedział, że nigdy nie zostanie uczestnikiem. To była ta bestia, którą w sobie czuł. Los skazańca. Mijał kolejne domy i ze wstrętem patrzył na pstrokate ozdoby, dekorujące niektóre werandy. Kojarzył je z fabryk, gdzie pracował. Tak, nie mieli skrupułów by przystrajać swój świat ich cierpieniem. I to jeszcze z uśmiechem na twarzach… Ale może bez kontrastu nie ma szczęścia – burza myśli przechodziła przez jego głowę. Czym bowiem byłby ten wszechobecny połysk bez tamtego brudu, w którym musiał się wychować… W końcu zatrzymał się przed jednym z domów. A widząc mężczyznę, siedzącego na werandzie, czym prędzej schował się za drzewem. Chwilę później zajrzał do aktu urodzenia, z którego wynikało, że ma dopiero dwadzieścia jeden lat. Na rubrykę obok daty narodzin. Tak, to był ten numer.

*

- Kochasz mnie? – usłyszał Waldorf, a potem poczuł na policzku usta żony.

- Tak – odparł i od razu się uśmiechnął.

- Odniesiesz to? – zapytała.

A on odpowiedział bez wahania:

- Oczywiście.

Jak to w szczęśliwym świecie, tak i w domu Amów wszystko było poukładane - na miejscu i o właściwym czasie. Tak więc uśmiech napotykał na uśmiech, pytanie na odpowiedź, a prośba na szybką pomoc. Chwilę później Waldorf poszedł do łazienki, gdzie, po tym jak odłożył do szafki kosmetyczkę żony, przejrzał się w lustrze. Popatrzył na swoją nie zjedzoną jeszcze zmarszczkami twarz, pulchne, lekko zarumienione policzki i łagodne spojrzenie. Czas był dla niego łaskawy – gdyby nie siwe włosy wyglądałby na mężczyznę w sile wieku. Miał już jednak, choć jemu samemu ciężko było w to wciąż uwierzyć, siedemdziesiąt dwa lata.

Gdy wrócił do sypialni, żona, już w koszuli nocnej, oglądała telewizję.

- Podobno dziś uciekła kolejna grupa - oznajmiła.

- Słyszałem – odparł.

- Mówią, że strefa jest przeludniona.

Waldorf zdjął kapcie i również usiadł na łóżku.

- Więc co mamy zrobić? – odpowiedział. - Otworzyć bramy?

- Nie wiem.

- Wiesz jak to by się skończyło…

Żona milczała. Wiedziała jak. Telewizyjne relacje nie pozostawiały złudzeń. Po dłuższej chwili wspomniała tylko:

- Ministerstwo pracy przysłało zawiadomienie do twojej wnuczki.

- W celu?

- Skończyła szesnaście lat, chcą pobrać jej materiał genetyczny.

- Przynajmniej promują dobre geny. Dobrze, że mi dali już spokój…

- Uważają, że replikantów jest wciąż za mało – żona pokręciła głową z dezaprobatą.

- Ich zmartwienie. Ja idę spać.

- Już?

- Zmęczony jestem.

Waldorf westchnął głęboko i schował nogi pod kołdrę.

Czym jesteś zmęczony? –zdziwiła się żona. – Cały dzień jeździłeś tym swoim samochodzikiem…

Popatrzył na nią z wyrzutem, ale nie zamierzał się już droczyć. Przekręcił się na bok i zamknął oczy.

*

Rima miał wrażenie, że już tu kiedyś był. Nie raz tak to sobie właśnie wyobrażał. Salon był obszerny i zadbany. Znajdował się w nim duży stół, ceglany kominek, dwa fotele z aksamitnymi obiciami i komoda z ciemnego drewna, na której stały zdjęcia w ramkach. I to właśnie na fotografiach zatrzymał światło latarki. Rodzina Amów wyglądała na szczęśliwą, wiecznie uśmiechniętą, ale Rima przyglądał się głównie panu Waldorfowi. Kolejne zdjęcia coraz wyraźniej zarysowywały na twarzy uciekiniera dziwnie szeroki uśmiech. A jego spojrzenie zdawało się śmiać. Jakby coraz głośniej. Popatrzył na następne zdjęcie. Na tym mogli być nawet w tym samym wieku. Oglądało mu się to wszystko na tyle dobrze, że wkrótce zaczął szukać w szafkach kolejnych fotografii.

*

Żona szturchnęła Waldorfa i zapytała wyraźnie zaniepokojonym głosem:

- Słyszałeś?

- Co? – odparł zaspany mąż.

- Coś na dole…

Nie zdążyła dokończyć, a skrzypienie się powtórzyło.

- To nic takiego… - starał się uspokoić ją Am.

- Nie chce rano znaleźć szczura w salonie…

- I nie znajdziesz – Waldorf przekręcił się na drugi bok.

Po chwili żona jeszcze raz go jednak szturchnęła.

- Nie zasnę… - dodała.

Mąż pokręcił głową z dezaprobatą, ale po chwili usiadł na łóżku i założył kapcie.

*

Rima nie oderwał spojrzenia od zdjęć nawet wtedy gdy usłyszał kroki na schodach. W końcu wiedział po co tu przyszedł. Dalej stał spokojnie, z opuszczonym pistoletem w prawej ręce, podśmiewując się jak szalony. Tymczasem Waldorf zaniemówił, gdy zobaczył w salonie obcego mężczyznę. Stanął jak zahipnotyzowany i przez dłuższą chwilę tylko patrzył jak włamywacz, z jakąś chorą fascynacją wypisaną na twarzy, przegląda album z jego zdjęciami. W końcu jednak odważył się powiedzieć:

- Co pan tu robi?!

Rima podniósł spokojnie spojrzenie znad fotografii i uśmiechnął się na widok gospodarza. Jak do starego znajomego, którego nie widział wiele lat, a który właśnie dotarł na umówione spotkanie.

- Ja? – odparł, jakby powstrzymując się od śmiechu.

- Tak. Proszę natychmiast stąd wyjść, bo wezwę policję…

- Ja tylko oglądam zdjęcia…

Dopiero wówczas Waldorf spostrzegł pistolet.

- Pan mnie nie poznaje? – dodał Rima.

- Nie.

Tym razem Rima już się roześmiał.

- Nie jesteśmy do siebie podobni, prawda? – rzucił, stanowczym spojrzeniem wymagając odpowiedzi.

- Proszę stąd wyjść.

- Tak właśnie myślałem. Ale wie pan co najbardziej boli?

Waldorf popatrzył w bok, szukając możliwości ucieczki. A Rima odpowiedział sam sobie:

- Świadomość, że mogło być inaczej.

W tym momencie Am spróbował skoczyć w bok, na schody, którymi mógłby uciec na górę, ale nie zdążył. Rima oddał trzy strzały. Wszystkie celne. Pan padł jak rażony gromem, a po chwili huk wystrzałów, zastąpiły krzyki przerażonej żony. Rima nie zamierzał jej jednak uciszać. Brakowało mu tylko okrzyków *Uciekinier! Uciekinier!* Tu wyobraźnia go zawiodła.

Chwilę później wyszedł spokojnym krokiem z domu i zatrzymał się na ulicy. Ale wokół, pomimo przeraźliwych spazmów, wydobywających się z domu Amów, było pusto. Może sąsiedzi myśleli, że to tylko zbyt głośno nastawiony telewizor. Rima podniósł pistolet i strzelił kilka razy w powietrze.

- Uciekinier! Uciekinier! – krzyknął.

I po chwili zobaczył jak w oknie sąsiadów zafalowała firanka. A więc widownia była już na miejscu. Uśmiechnął się. Ale on nie zamierzał już uciekać. Włożył pistolet do ust i pociągnął za spust.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Scarface1916, dodano 10.07.2016 12:43

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.